№ 21. Warszawa, dnia 9 (21) Maja 1887 roku.



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

SYLWETKI LITERACKIE.

PRZEZ

T. J. Choińskiego.

I.

Eliza Orzeszkowa.

(Dalszy ciąg.)

Wiadomo, że do „nowych haseł” należała także bezwzględna krytyka szlachty i duchowieństwa. Orzeszkowa utrzymała się jednak w tym względzie na stanowisku sumiennej i o ile mogła bezstronnej obserwatorki.

Znajdują się w jej powieściach typy próżniaków, głupców i łotrów z herbami i tytułami. Przednie miejsce między temi „wolnemi dziećmi natury, mędrcami, wykształconemi na łonie życia”, zajmuje taki np. Kalikst Graba („Pan Graba”), człowiek, zepsuty do szpiku. Na około niego grupuje się cała armia niedołęgów, marnotrawców i błaznów. Ale obok tych pasożytów i wyrzutków, których posiada każde społeczeństwo i każdy stan; zna Orzeszkowa szlachciców szlachetnych i uczciwych. Typ rubasznego na pozór a serdecznego w istocie ziemianina, powtarza się u niej kilkakrotnie (Mieczysław z żoną w „Z życia realisty”, Dembowski w „W klatce”, Jerzy Snopiński w „Na prowincyi” i t. d); maluje ona i zacnych panów (Tarnowski w „Ostatniej miłości”, Gaczycki w „Cnotliwych”; nie wierzy, aby każda arystokratka miała być koniecznie pustą gęsią i wyrafinowaną strojnisią (Krystyna Dembielińska w „Na dnie sumienia”, Marya Porzewińska w „Maryi”), a każdy arystokrata nieukiem i zblagowanym paniczem (hr. Zborski w „Na dnie sumienia”).

Choć przyznaje się do t. zw. zasad postępowych, nie zbłądziła Orzeszkowa zaciekłością stronniczą. Powieści jej przenika duch tolerancyi i wolnomyślności, ale nie zakaża ich nigdzie jednostronna nienawiść. Nie bluźni ona przeciw religii, nie sieje niezgody między stronami. Ogarnia ona cały naród dalekim wzrokiem, wydzielając wszystkim tą samą miarką. Jest ona postępowcem umiarkowanym, przyznającym się do zasad liberalistów mieszczańskich.

Nie trudno domyślać się, że autorka tak rozsądna, „trzeźwa” musi się na miłość zapatrywać przeważnie ze stanowiska praktycznego. Bogdanek w rodzaju bohaterek romantycznych, szukałyby czułe serca bardzo długo daremnie w księgach powieściopisarki litewskiej. Jedyna tylko Krystyna Dembielińska („Na dnie sumienia”) może się poszczycić uczuciem w dawnym stylu. Wprawdzie kocha i chłopska Ulana w mechaniku Zygmuncie („Z życia realisty”) z oddaniem się imienniczki swej, znanej z powieści J. I. Kraszewskiego, umiera z miłości dr. Lucyan („W klatce”), lecz „przygodę” technika uważa sama Orzeszkowa jako wybryk pierwszej miłości, kończąc ją rozdźwiękiem, śmierć zaś lekarza spowodowała nie sama tylko pani Warska.

Zapatrywania swoje na miłość, prowadzącą do ołtarza, wygłosiła Orzeszkowa głównie w powieści p. n. „Wesołe teorye i smutna praktyka”, zamianowawszy adwokata Witolda rzeźnikiem swoich poglądów.

Ideałem jej jest uczucie spokojne, trzymane na wodzy za pomocą rozumu. Przenosi ona człowieka „porządnego” nad namiętnego, dobrą żonę nad gorącą kochankę. Bo „gdzie jest szał, tam nie ma rozumu, a gdzie nie ma rozumu, tam szczęście... kruche” — mówi praktyczna artystka („Na prowincyi”).

Nic dziwnego, że twórczyni pani Ludwiki, żony adwokata Witolda („Wesoła teorya”) nie idealizuje rozkoszy zmysłowej, nie zachwyca się pięknem ciałem, nie lituje się nad „niepoznanemi”. Wskazuje ona na zachcianki krwi, na bunty instynktów bardzo skuteczne lekarstwo, mianowicie: obowią-

zek: Marya Porzewińska („Marya") jakkolwiek ją okoliczności przykuwały do człowieka, z którym nie może mieć nic wspólnego, okrom uczciwości, z którym różni się w zwyczajach, obyczajach, poglądach, upodobaniach i wierzeniach, dotrzymuje mu przysięgi, chociaż się serce jej krwawi. Ta kobieta, pokonywająca wielką miłość, rzucająca własne szczęście na pastwę obowiązkowi, to prawie bohaterka. Ocala ona honor swych zbyt praktycznych siostrzyc.

Wszystkie powyższe zasady, poglądy i „hasła" nie są oczywiście wynalazkiem ani Orzeszkowej, ani t. zw. pozytywistów warszawskich. Zachodzą one już u autorów dawniejszych. Lecz młodzi publicyści i beletryści ujęli je w pewną całość, w system, czyniąc je podstawą zwartego programatu.

Wszelkie *a priori*, występujące jako wybitna tendencya, nie podnoszą nigdy wartości dzieł sztuki. Wysuwane bowiem na pierwszy plan, nie pozwalają tworzyć przedmiotów.

Przedmiotowość jest główną i zasadniczą wadą powieści Elizy Orzeszkowej z lat dawniejszych. Opanowana, tyranizowana, że tak powiemy, przez swoją tendencyę, którą ma ciągle na uwadze, odzywa się Orzeszkowa ciągle w osobie pierwszej. Rozrywa gęsto rozrzuconemi komentarzami jednolitość kompozycyi, nagina charaktery i bajkę do swoich teoryi, *dowodzi*, zamiast malować. Trwało bardzo długo, zanim się Orzeszkowa pozbyła tej wady, bo pokonała ją dopiero w swoich powieściach żydowskich.

(Dokończenie nastąpi.)

---

* *

*

Kiedy w Maju, wśród zieleni,
Sam podobny do jesieni,
Siedzę sobie zadumany
I rozważam czasu zmiany,
Nie chcę wtedy dawać wiary,
Żem już stary, dobrze stary.
Mnie się zdaje, że w altanie
Ty się zjawisz niespodzianie,
Taka cudna, taka biała,
Taka strojna i wspaniała,
Jaką byłaś w owej dobie,
Kiedym jeno śnił o tobie.
Wołam wtedy: o dziewico!
Stań się wróżką, czarownicą,
Wróć mi, wróć mi dawny Maj,
Wróć młodości mojej raj!

Lecz się łudzę jak poeta,
Boś ty nie ta, ah! już nie ta!
Ślady swoje czas i bole
Zostawiły na twem czole.
Nie przychodzisz dumająca
Patrzeć ze mną w twarz miesiąca,
Słuchać gwaru wiosny młodej,
Szmeru liści, szumu wody...
W snach mych tylko, w każdym czasie,
Widzę ciebie w dawnej krasie!
Wołam wtedy: o dziewico!
Stań się wróżką, czarownicą,
Wróć mi, wróć mi dawny maj,
Wróć miłości cudny raj!

Antoni Kruman.

KRWAWY DYABEŁ.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

z czasów Zygmunta III.

PRZEZ

L. S. W.

(Dalszy ciąg.)

Kawalerowie, mimo nas przepływając, podnieśli w górę swe czapki, ozdobione różnokolorowemi wstęgami, a ja w tej chwili rzuciłam do rzeki w przeciwną stronę, przygotowany duży wieniec z róż białych, ubrany we wstęgi różowe i zielone, takie same jakie powiewały na czapce Stadnickiego...

Młodzież dostrzegła natychmiast mój wianek i w tej chwili obie łodzie, zręcznym ruchem wioseł kierowane, zawróciły i zaczęły się ścigać, goniąc za wieńcem, który ich daleko już wyprzedził. Obydwie łódki trzymały się równo obok siebie, ale zdołałam jeszcze dojrzeć, że Ossoliński doścignął wreszcie mój wianek i wychylił się z łodzi, ażeby go schwytać, ale w tej chwili przypada druga łódka. Widziałam, jak Łaszcz potrącił Ossolińskiego i wyrwany mu z ręki wieniec oddał Stadnickiemu. Słychać było plusk, zamieszanie, krzyki... Zemdlałam ze wzruszenia i ze strachu...

Gdy przyszłam do siebie, leżałam w łóżku w gospodzie ojcowskiej. Po kilkudniowej chorobie, spowodowanej tak silnem wzruszeniem, odzyskałam zdrowie ale czułam się moralnie złamaną. Zdawało mi się, że mam serce pęknięte, a w mózgu czarny kir ciężkiego, nieuleczonego smutku, który odtąd miał mi stać ciągle przed oczami i przysłaniać wszystkie moje myśli.

— Co się to stało? — pytam starej Sękocińskiej, gospodyni naszej, która mnie doglądała. Niestety, wiedziałam dobrze sama i pamiętałam, co się stało, a zapytywałam chyba tylko ze słabą nadzieją, że usłyszę coś pocieszającego, rozpraszającego moje obawy.

— Matko Bozka! — odparła staruszka, wzdychając i żegnając się pobożnie. — Stało się nieszczęście... Mój Boże, tak młody i piękny kawaler, pan Zbigniew Ossoliński...

— Czy nie żyje — zapytałam ścicha.

— Oj nie żyje, panieneczko, utonął... Nie znaleźli nawet jego ciała. Nieszczęśliwy przypadek... Pan Łaszcz potrącił go pono niechcący... Młody pan Stadnicki, mówią, martwi się wielce, ale... wola Bozka. Nikt nie winien przypadkowi...

Nie dopytywałam się więcej. Wiedziałam dobrze, bo widziałam i czułam; że nie był to przypadek, że Łaszcz umyślnie potrącił Ossolińskiego... Czy Stadnicki o tem wiedział? Czy był wspólnikiem Łaszcza, a żal swój tylko udawał, czy też był niewinny? Nie dowiedziałam się o tem od niego nigdy, a serce dawało mi i daje do dziś dnia niepocieszającą odpowiedź...

— Pan Stadnicki odesłał panience złowiony na rzece wieniec — mówiła Sękocińska. — Dopytywał się o zdrowie panienki.

Porwałam złowrogi wieniec, porwałam go, podeptałam i rzuciłam w ogień. Błagałam ojca, żeby mnie zawiózł jak najprędzej do Jazłowca i oświadczyłam stanowczo, że nikogo widzieć i z nikim przed wyjazdem żegnać się nie chcę.

Ojciec, człowiek dobrotliwy i małomówny, pokręcił wąsa w milczeniu i nazajutrz opuściliśmy Warszawę. Pomimo całego uroku lata, stary modrzewiowy dwór rodzinny wydał mi się zimnym i ponurym.

Ojciec niedługo był ze mną, gdyż wyruszył wkrótce z królem Stefanem na daleką wyprawę wojenną. Zostałam więc znowu sama z Sękocińską. Dziwny to los mój zaprawdę: najczęściej, jak wtedy, tak teraz, pędzę życie samotna i opuszczona.

Długo nie wracali rycerze, a sława dzielnych ich czynów dochodziła do kraju, słodząc tęsknotę oczekiwania drogich osób. Powrócił wreszcie ojciec, lekko ranny w nogę, a wiedziałam, że siebie nie szczędził dzielnie poczynając przy boku króla. Wojewoda, pomimo całej powagi, powitał mnie czule, gdyż bardzo mnie kochał chociaż nie okazywał wiekkiej czułości.

— Hanno, posłuchaj mnie, dzieweczko — rzekł pewnego razu. — Czasby już pono pomyśleć ci o mężu.

Zapłoniona ucałowałam ręce ojcowskie, zapewniając go, że mi niepilno go opuścić.

— Zresztą — dodałam — nie znam nikogo takiego i, o ile wiem, nikt nie starał się dotąd o moją rękę.

Ojciec pokręcił wąsa.

— Hm — rzekł — niecałkiem to prawda, bo już oddawna wiesz ode mnie, że dwaj stateczni kawalerowie starali się o ciebie.

Nie odpowiedziałam nic na to, tylko czułam, jak mi ścisnęło się serce, a rumieniec ustąpił miejsca śmiertelnej bladości; straszna owa noc świętojańska odżyła w mej pamięci ze wszystkiemi okropnemi szczegółami.

— Młody Stanisław Stadnicki — mówił dalej ojciec, jest dzielnym młodzieńcem. Walczyliśmy razem przy boku królewskim. W gorącej potyczce pod Toropcem, gdzie odniosłem tę oto ranę w nogę, pan Stanisław w czas skoczył mi na pomoc i tem ocalił mi życie... Odtąd pokochałem go jak syna i przyrzekłem mu twoją rękę. Mówił mi, że oddawna myśli o tobie i że ty nie jesteś mu całkiem nieprzychylną.

Milczałam, bo przecie u nas w Polsce panny rzadko mają własną wolę w podobnym wypadku.

— To tylko nieszczęście — ciągnął dalej rodzic — że jakoś pana Stanisława nie widać. Wszyscy wrócili, a jego nie ma... Chodzą wieści, jako dostał się do niewoli.

Na te słowa, jakaś otucha wstąpiła do mego serca. Dziwnych a sprzecznych doznawałam uczuć: nie mogę powiedzieć, żebym nie żałowała Stadnickiego, ale po owej nocy okropnej, gdy zginął Ossoliński, postanowiłam nie być nigdy żoną pana Stanisława.

— A może — odezwał się jeszcze ojciec, widząc że ciągle milczę, może sprzyjałaś więcej nieszczęśliwemu Ossolińskiemu i jeszcze o nim pamiętasz?

— Pamiętam ciągle o nieszczęśliwym ś. p. Zbigniewie — odparłam śmiało — ubolewam nad nim i żałuję go; pomimo to nie byłabym chciała zostać jego żoną.

— No, to chwała Bogu — rzekł z westchnieniem ojciec, głaszcząc mnie po twarzy. — Zresztą umarłym wieczny pokój, a życie ma swoje prawa.

Nie chciałam powiedzieć nic więcej. Oczekiwaliśmy więc w milczeniu przybycia pana Stanisława. Miesiące biegły i rok już upływał a jego wciąż nie było.

Ojciec martwił się tem jawnie a ja cieszyłam się w duchu. Napomykałam więc nieraz, że pan Stadnicki zapewne nie wróci, a przy tem przypominałam, że jest innej religii. Nie stanowi to u nas, jak wiesz krewniaczko, wielkiej przeszkody, ale pomimo to jeżeli opór córki woli rodzicielskiej zjakiego innego powodu nie ma znaczenia, ten jeden powód tylko, w czasach tak wielkiej pobożności, jak nasze, może zyskać uwzględnienie.

Ojciec chmurzył się, ale milczał. Widząc to, zaczęłam powoli oswajać go z myślą, że zamąż wcale iść nie chcę i wypowiedziałam, że pragnieniem mojem jest wstąpić do klasztoru panien Dominikanek we Lwowie.

Ojciec zrazu oburzał się i żżymał, ale z powołaniem mojem do zakonu walczyć się nie odważył. Zresztą przyszła wieść, jak okazało się później, fałszywa, o śmierci pana Stadnickiego w niewoli. Wtedy już ojciec okazał się powolniejszym, sądząc zapewne, że to z żalu po stracie narzeczonego chcę wstąpić do klasztoru, co u nas zdarzało się i zdarza często.

Co do mnie, gorączkowo niecierpliwiłam się, ażeby już co prędzej przywieść do skutku swój zamiar, zamknąć się nieodwołalnie w murach klasztoru. Nadszedł wreszcie dzień upragniony. Ubrana jak do ślubu, po raz ostatni strojna kwiatami, klęczałam przed ołtarzem w kościele Dominikanek. Po mszy miały odbyć się moje obłóczyny a dokonać ich miał sam arcybiskup lwowski Solikowski. Msza skończyła się i rozpoczęła się ceremonia. Siostry zakonne ucięły mi nożyczkami i wianek mój ślubny i warkocz, a na suknię weselną zarzuciły mi habit dominikański. Leżącą krzyżem przed ołtarzem przykryto całunem i rozpoczęto śpiew *De profundis*, jako nad „umarłą dla świata."

Ojciec mój wzruszony, ocierał łzy ukradkiem. Płakali też obecni, a kościół był pełny, natłoczony ciekawymi przypatrzeć się obłóczynom jedynej, młodziutkiej i jak mówiono, niebrzydkiej córki pana wojewody podolskiego.

Wtem powstał śród obecnych jakiś ruch i zamieszanie. Leżąc pod całunem, miałam tylko jedno pragnienie: byle prędzej skończyło się wszystko, byle prędzej... Na odgłos szmeru powstało w mem sercu przeczucie jakieś smutne, rozpacz, jak człowieka, który wszystko traci.

Właśnie zdjęto ze mnie całun i dwie zakonnice, ująwszy mnie pod ręce, przyprowadziły do tronu arcybiskupiego, dla dokończenia ceremonii, gdy podniósłszy oczy, dostrzegłam stojącego tuż przy mnie Stanisława Stadnickiego...

Gdy arcybiskup zaczął mi zadawać zwykłe przy obłóczynach pytania, czy dobrowolnie i bez żalu przywdziewam suknię zakonną, czy spodziewam się wytrwać i t. d., odpowiadałam stanowczo, choć po cichu, bo nie wiem dlaczego drżałam na całem ciele. Gdy zaś przyszło do pytania, czy nie ślubowałam komu na świecie, nie zdążyłam odpowiedzieć, gdy rozległ się dźwięczny i donośny głos Stadnickiego:

— Księżę arcybiskupie! Mam przyrzeczoną sobie rękę tej panny.

Ojciec mój, widocznie ucieszony tak nagłym i niespodziewanym powrotem Stadnickiego, potwierdził to oświadczenie.

Co nastąpiło później rzecz wiadoma... Nie śmiałam opierać się woli ojca. Obrzęd przerwano i wkrótce zostałam żoną Stadnickiego. Porwał mnie z przed ołtarza, niemal już z za kraty klasztornej i dlatego zapewne Bóg nie błogosławi naszemu małżeństwu... Późniejsze postępowanie mego męża utwierdza mnie tylko w przypuszczeniu, że winien był śmierci Ossolińskiego... Odtąd, jak i dawniej, wciąż prawie spędzam dni, miesiące i lata we łzach i osamotnieniu.

Tak opowiadała pani Samuelowej swe życie starościna łańcucka.

III.

Pan Herburt z Fulsztyna. Różne koleje walki.

Zamek w Dobromilu, położony na uroczem wzgórzu leśnem śród czarującej okolicy podgórza sanockiego, wyglądał zewnątrz i wewnątrz wcale inaczej niż zamczysko łańcuckie. Mały i świeży, zbudowany w lekkim stylu włoskim, śmiejący się licznemi oknami i oszklonemi drzwiami weneckiemi, a pozbawiony wszelkich groźnych obwarowań, zameczek dobromilski wyglądał na siedzibę człowieka miękkich i łagodnych obyczajów, zamiłowanego w pięknościach sztuki, w księgach i poezyi raczej niż w twardem rzemiośle rycerskiem. Takim też istotnie był właściciel tego zamku, słynny Jan Szczęsny Herburt z Fulsztyna, autor znanych statutów i innych dzieł historycznych, przez lat wiele sekretarz królewski. Próbował on wprawdzie i rycerskiego rzemiosła, ale nie z takiem powodzeniem, jak jego przodkowie, dawne owe „orły z Herburtów". Ostatecznie, zniechęcony niepowodzeniem rokoszu Zebrzydowskiego, w którym brał udział przeciwko Zygmuntowi III, oddał się wyłącznie księgom. Sejm 1609 roku ogłosił przebaczenie rokoszanom, ale Herburta skazano na dwuletnie więzienie domowe: musiał zaręczyć słowem, że przez ten czas nie ruszy się z Dobromila. Niebardzo mu było to przykro, może nawet i cieszył się z tego, że nie będzie brał udziału ani w zamieszkach krajowych, których w owych burzliwych czasach nie brakło, ani w dalekich wyprawach pod Smoleńsk i na Wschód, na które biegło wtedy rycerstwo polskie.

Siedział więc sobie pan Herburt, pewnego jesiennego poranku 1609 roku w niewielkiej, okrągłej i jasnej sali swego zameczku, pośród pięknych i kosztownych posągów, ksiąg i obrazów, ślęcząc nad jakiemiś ogromnemi foliałami, oprawnemi w pergamin z klamrami. Był to mąż wysokiego wzrostu i dobrej tuszy, brunet o rysach pięknych i wyrazistych, ze wspaniałą czarną brodą, już siwiejącą.

Zajęcie gospodarza zostało przerwane przybyciem jakiegoś możnego gościa, który w orszaku kilku konnych zajechał przed zamek.

Po chwili gość ten wszedł do komnaty. Był to mężczyzna wzrostu średniego, szczupły, zawiędły, już niemłody, ale rześki. Ruchy jego były szybkie, gorączkowe, mówił prędko jakby śpiesząc się zawsze. Ubrany był w długą ferezyą popielatą ze złotemi sznurami i guzami, u boku miał karabelę. Był to pan Łukasz Opaliński, starosta leżajski, niezbyt daleki sąsiad Herburta.

— Czołem, czołem waszmości — wołał ściskając gospodarza starosta.

— Witam, witam — odparł uprzejmie Herburt. — Siadajcież. Zkąd Bóg prowadzi i co dobrego przynosicie?

Klasnął w dłonie i kazał hajdukowi podać węgrzyna. Tymczasem gość rozglądał się po izbie.

— Waszmość, panie Szczęsny — mówił — zawsze z Muzami, wciąż nad księgą...

— Używam wczasu — odparł z uśmiechem gospodarz. — Wiadomo miłości waszej, że odsiaduję więzienie.

Starosta machnął ręką.

— Nie namby to — rzekł — odsiadywać karę, ale co tam mówić po niewczasie, kiedy już wszystko przepadło.

— I kiedy nikt nic nie zyskał, ani zwycięzcy, ani zwyciężeni, ale owszem bodaj jedni i drudzy stracili — dodał Herburt. — Ale i ja powiem co tam! Stało się, co stać się musiało. W ręce wasze, panie starosto!

— Z waści zawsze sensat i filozof — rzekł starosta trącając się kieliszkiem. — Pragnąłbym posiadać równie zimną krew i obojętność, czy tam rezygnacyą... Ale jak tu zachować tak cenne przymioty, gdy człowiekowi leją sadło za skórę.

— Czy wciąż jeszcze wadzicie się z Dyabłem Stadnickim? — pytał Herburt.

— A jakże! Wojna wre na dobre. Widzicie mnie oto, jako świeżego zwycięzcę: splondrowałem niedawno zamek łańcucki.

— Doprawdy? A to winszuję, jeźli jest czego powinszować — rzekł nieco chmurnie gospodarz.

— Pewnie, że jest czego — krzyknął starosta.— Wypuściłem z lochów nieszczęśliwego Korniakta, którego ów zbój więził podobno lat siedmnaście, nadto dwóch Tatarów, którzy mi odwdzięczając się, pokazali miejsce w stawie, gdzie starościna kazała zatopić srebra; te poszły w nagrodę trudów moich ludzi.

Herburt słuchał w milczeniu.

— Krwawy Dyabeł sam chciał tego — mówił, jakby usprawiedliwiając się starosta. — Ciągnąłem właśnie do grodu przemyskiego skarżyć się za obelgi i pogróżki, przeciwko mnie wymierzone, które Stadnicki kazał poprzybijać na słupach przydrożnych. Bóg widzi, chciałem nawet okrążyć Łańcut, ażeby uniknąć walki, ale Stadnicki czyhał na mnie i sam rozpoczął potyczkę. Pobiłem go więc i zdobyłem jego zamek. Był to odwet za klęski, które mi zadał zaprzeszłego roku pod Łukowcem, a zeszłego lata pod Rybotyczami, za dokanane przez Stadnickiego rabunki na moich ludziach w Tyczynie i w Kańczudze, za wszystkie gwałty, których dopuszczał się na mnie ten Krwawy Dyabeł od czasu, gdy spiknąwszy się z jakimś łotrem Godlewskim, który był nawet burmistrzem w Leżajsku, jął szarpać i niepokoić mnie, moje posiadłości i moich ludzi, bez najmniejszego z mojej strony powodu.

— O! — rzekł Herburt — temu wichrzycielowi powodów nie trzeba. Znam go dobrze, bom i ja też z nim wojował, potem gdy zbójecko napadł i zamordował mego teścia, ś. p. Jana Tomasza Drohojewskiego.

— Szkoda żeś go waszmość wypuścił wtedy, bo podobno wpadł był w twoje ręce — rzekł starosta.

— Nie — odparł gospodarz. — Nie jego to samego ująłem wówczas w Przemyślu, ale jego brata stryjecznego, Stanisława z Ozomli. Ale cóż, gdy przywiozłem go do Lwowa, on nietylko, że mi umknął, ale nadto mnie samego uwięził, ledwie, że

mi się później ratować ucieczką udało. Sprawdziło się na mnie — dodał z uśmiechem — stare przysłowie: „złapał kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma.” Widać nam, ludziom pióra, nie wojować skutecznie. Zresztą, Stadnicki z Ozomli także mąż uczony, a jednak i temu nie dałem rady.

— Sam Dyabeł umie zawsze umknąć w czas — mówił starosta. — Ot i teraz wymknął mi się, a miałem nadzieję, że dostawię tego zbója do grodu, aby dał gardło za swe zbrodnie. A że uciekać umie, pokazał to pod Janowcem, umknąwszy z szeregów rokoszan, chociaż nikt tak głośno jak on nie wymyślał królowi.

— A starościna z synem gdzie są? — pytał gospodarz.

Starosta wzruszył ramionami.

— Z babami i dzieciuchami nie wojuję—rzekł—pozostawiłem więc panią w jej pokojach. Zresztą to kobieta nieszczęśliwa, męczenniczka. Co do syna nie wiem, gdzie jest.

— Chyba nie z ojcem — rzekł Herburt.—Dziś to już młodzian pod wąsem, a pono nie ma usposobienia ojcowskiego.

— Nieszczęście — dodał gospodarz po chwili milczenia — że w kraju naszym nigdy niebrak wichrzycieli, awanturników, a teraz pono mnoży się ich coraz to więcej. Pamiętamy jeszcze Samuela Zborowskiego, Łaszcza, Olbrachta, Łaskiego, dziś broją Stadniccy.

— Nie ma już Zamojskiego — rzekł z westchnieniem starosta — nie ma króla Stefana. Dzisiejszego pana ludzie sobie mało ważą.

Herburt zaśmiał się lekko.

— Mogę to wziąć — rzekł — do siebie za przymówkę, bom jeden ze zwyciężonych rokoszan, którzy również mało sobie ważyli Zygmunta III.

— *Victrix causa diis placuit sed victa Catoni* *) — zadeklamował sentencyonalnie starosta, pokrzepiając się jeszcze jednym kieliszkiem węgrzyna. — Ale pozwól mi waszmość wrócić do przerwanej materyi, co doprowadzi mnie do wyłuszczenia celu moich odwiedzin. Owóż na Stadnickiego, ba i na mnie sarkają ziemianie za tę wojenkę, którą prowadzimy. Wiesz może waszmość, że szlachta w obronie swej utworzyła w Radymnie konfederacyą.

Herburt twierdząco skinął głową.

— Szlachta — ciągnął dalej starosta — posyłała do króla skarżąc się na spustoszenie kraju, zwłaszcza przez ludzi Stadnickiego, których on *sabbatami* nazywa, a sprowadził ich sobie pono aż z Węgier, prawdziwych dyabłów, jak sam, aby z nim wyprawiali sabbaty piekielne.

— Pan starosta—rzekł Herburt z uśmiechem—umie być dowcipnym nawet i śród przeciwności. Ale wybaczcie, że przerwałem, słucham...

— Król jegomość przysłał już dwukrotnie opata Sułowskiego do mnie i do Dyabła, abyśmy dali sobie pokój a krzywd i pretensyi poszukiwali na drodze prawa przed trybunałem. Ale powiedz waszmość, czy mógł co wskórać opat, ksiądz uDyabła?

— Mniemam — odparł gospodarz — że i sam król jegomość niewieleby u niego wskórał. Wszak Stadnicki to jeden z najdawniejszych nieprzyjaciół królewskich, dawniejszy od samego Zebrzydowskiego. Nie kto inny jeno Stadnicki chciał prowadzić na tron polski bodaj owego szalbierza Dymitra, co go w Moskwie zabili, a teraz, słyszę, chociaż objęty amnestyą sejmową, nie przestaje konszachtów z Gabryelem Batorym, księciem siedmiogrodzkim, któremu obiecuje koronę.

— Pożal się Boże! — krzyknął starosta. — Z owym Batorym dobrali się w korcu maku, boć i to słyszę, okrutnik i gwałtowny, Azyata jakiś. Szkoda dla niego owego pięknego nazwiska, które nosił sławnej pamięci król Stefan.

— Pewnie to od owego Gabryela sprowadza tych swoich „sabbatów”? — pytał Herburt.

— Podobno. Otóż Krwawy Dyabeł zapewne tyleż sobie waży prawo i trybunał co króla, spokój kraju, życie i mienie spółobywateli. Na drodze prawa z nim nic wskórać niemożna, a zresztą czyż poddałby się wyrokowi? Czyby obeszło się bez egzekucyi wyroku, a to znowu byłoby to samo, co dotychczasowa wojna domowa?

— Tak się zdaje — potwierdził Herburt.

— Jabym się także nie pisał na trybunał—mówił dalej starosta. — Obrzydło mi życie i najlepszy koniec byłby ten, żeby albo Stadnicki dał gardło pod moim mieczem, albo żeby mnie żywota pozbawił. W porozumienie się i zgodę z nim nie wierzę, zarówno jak w prawne rozstrzygnięcie naszego sporu.

Gospodarz słuchał w milczeniu, głaszcząc długą swą brodę.

— Wszelako — mówił po chwili starosta — dla dogodzenia królowi jegomości i panom braci, niech się odbędzie ta komedya czy tam intermedya. Że zaś przed wytoczeniem sprawy na trybunale zbiera się jeszcze zwykle sąd polubowny, którego ziemianie pragną i w tym razie, niech więc robią sobie tę próbę. Chcę być powolnym królowi i braci szlachcie, chcę pokazać, że prawem nie gardzę, tem bardziej, że wiem na pewno, chociaż to rzecz doprawdy nie do uwierzenia, że Stadnicki, pomimo wszystko, wybiera się do króla, do Warszawy.

— Czy być może? — zapytał żywo Herburt.

— Rzecz, powtarzam pewna — rzekł starosta.— Król zajęty wyprawą, nie może wejrzeć we wszystkie szczegóły, mało co wie nawet, a Dyabeł może go ułudzi i obałamuci, jak ułudził już tylu innych.

— A więc sąd polubowny? — pytał gospodarz.

Starosta wzruszył ramionami.

— Nie wiem — rzekł po chwili — kogo Dyabeł obierze sobie do tej komedyi. Co do mnie, chcę prosić Ostroroga, wojewodę poznańskiego, Leśniowolskiego, podczaszego lwowskiego, Jędrzeja z Tęczyna, kasztelana wiślickiego, no i waszą miłość, jeźli pozwolicie i po to właściwie tu przybyłem... Bieglejszego w prawie znaleźć trudno.

Herburt milczał czas jakiś w zamyśleniu, głaszcząc swą długą brodę, a dziwny jakiś uśmiech igrał na jego ustach.

— Od posługi obywatelskiej — odezwał się wreszcie — nie godziłoby się wymawiać. Atoli wybaczy mi miłość wasza, że od tego zaszczytu, bardzo dla mnie pochlebnego, pozwolę sobie uchylić się stanowczo. Prawników znajdziecie i bieglejszych ode mnie, ja zaś podzielam zdanie wasze, panie starosto, że ten sąd polubowny na nic się nie przyda. Szkoda mi więc czasu na tę, jak sami nazywacie komedyą, tem bardziej, że mam wiele do czynienia. Zakładam tu bowiem u siebie drukarnię i przygotowuję do druku kronikę Długosza. Boczy to nie wstyd dla nas, doprawdy, że dotychczas znakomite to dzieło najlepszego z dawnych historyków naszych drukowane nie było, a znanem jest jedynie z rękopisów? Do tego, wiecie że jestem więźniem u siebie w domu, wyjechać więc nigdzie nie mogę. Chybaby więc tutaj u mnie zebrał się ów sąd polubowny, ale i tego sobie nie życzę, bo tym sposobem niejako odegrywałbym główną rolę w zatargach waszych ze Stadnickim, chcę zaś być całkiem wolnym i nie mieszać się do niczego. Wybaczcie mi więc, panie starosto, że żądaniu waszemu zadość uczynić nie mogę.

To powiedziawszy, Herburt wstał i uprzejmie ściskał ręce starosty.

Opaliński podniósł się również, a lekki rumieniec, który pokrył jego wychudłe policzki, świadczył o niezadowoleniu.

— Nie można, to trudno — rzekł sucho, szarpiąc krótkie swe wąsiki. Czy to wasze ostatnie słowo?

— Niestety, ostatnie — rzekł gospodarz.

Pożegnali się potem ozięble i starosta opuścił komnatę.

— Do licha — mruknął do siebie przez zęby, gdy już był w sieni. Nie ręczę, czy ten rokoszanin nie trzyma z Krwawym Dyabłem, chociaż mu teścia zabił.

Herburt po wyjściu starosty, przechadzał się czas jakiś po izbie, zapewne rozmyślając o niektórych rzeczach usłyszanych od Opalińskiego.

Po niejakim czasie wrócił do stołu i usiadł znowu nad foliałem Długosza. Posuwając ciężką księgę, zrzucił na podłogę małą książeczkę, która otworzyła się spadając. Były to przysłowia polskie Salomona Rysińskiego.

Herburt podniósł książeczkę, a rzuciwszy okiem na otwartą stronicę przeczytał:

„Kruk krukowi oka nie wykole. Kocioł garnkowi przygania, a obadwa smolą”.

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się do siebie dawny rokoszanin i mruknąwszy: — „pono ten Opaliński wart Stadnickiego” — zasiadł znowu nad kroniką Długosza.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

*) „Strona zwycięzka podoba się bogom, zwyciężona zaś — Katanowi“. Wiersz z poematu Lukana „Pharsalia“.

PIERWSZA TAJEMNICA.

OPOWIEDZIAŁA

Maryś Napierałka.

(Dalszy ciąg.)

Ocknęłam się i odrzekłam pomieszana przyciszonym głosem:

— Panie marszałku, słowa twoje tak niespodziewanie spadły na mnie, że nie wiem co na nie odpowiedzieć...

— Jeżeli tylko nie jestto niespodzianka niemiła, to nacóż panno Wando zwlekać z wyrażeniem zgody na moją prośbę? — zapytał Marszałek.

— Ale to, co mi przedstawiasz panie Marszałku, jest tak wielkiej wagi, że tem samem potrzebuję namysłu.

— A zatem już ani troszeczkę nie lubisz swego wuja?—zapytał Marszałek ze smutnem westchnieniem ujmując ręce moje.

— Co wuj, to nie mąż — odrzekłam z najczarowniejszym uśmiechem — wuju, jak mogłeś pokochać takie jak ja małe, puste stworzenie?

— A nacóż to stworzenie zerkało takim wzro-

kiem czarownicy, że aż zawróciło w posiwiałej głowie?

— Eh! — odparłam z udanym dąsem — jeśli tylko zawróciło w głowie, to jeszcze nie oznacza trwałego uczucia.

— Oj! — rzekł marszałek uśmiechając się — od głowy przeszło do serca i teraz nikt już, nikt nie zaradzi, prócz samej sprawczyni tego stanu.

— Nie — ozwałam się naiwnie — mnie to wszystko wydaje się snem tylko... marzeniem...

— Droga Wando, nie rozumiem co w tem dziwnego tak bardzo. Nosiłem się z tą myślą oddawna, dlatego też dzisiaj pytam jak o największe szczęście, czy możesz mi być wzajemną?

— Wujciu, najdroższy, dajcie mi chociaż czas do namysłu. Napiszę do przełożonej...

— Dobrze, zgadzam się i na to, ale jak wiele czasu potrzebujesz?

— Chociażby do jutra, do wieczoru.

Zachwycony wujcio ucałował mi paluszki i — rozstaliśmy się. I, cóż się stało?

Takie szczęście, jakie miała zyskać panna, zostając żoną marszałka, trafić się mogło według mnie raz tylko w życiu. Z nim uśmiechało mi się wesołe i dostatnie życie, z nim mogłam być spokojną o całą moją przyszłość.

A Roland?

O! bez wątpienia żal mi było tego chłopca; jak zwyczajnie żal przejmuje za pierwszą miłością i pierwszem marzeniem o uczuciu straconem na zawsze. Może nawet westchnęłam zawstydzona iż o tak wiele wyższym okazał się nade mnie, bo chociaż w głębi duszy, sumienie wyrzucało mi niewierność, ale starałam się zagłuszyć, głos ten złowrogi. Mój kochany, piękny* Roland. Gdyby chociaż trochę był bogatszy, gdyby nie prowadził życia takiego tułaczego, gdyby wygodniej mógł się urządzić. Niepodobna mi więc było odepchnąć ręki marszałka, niepodobna. Każdy rozsądny człowiek musiałby przyznać, że zaślepieniem byłoby w tym razie wybierać Rolanda, nie marszałka. Z pierwszym musiałabym pracować, kłopotać się, zabiegać, myśléć zawsze o jutrze, a ja nie lubiłam pracy. Ostatecznie, wydając bezstronny sąd na siebie, nie usprawiedliwiam się wcale—byłam próżną, kokietką, samolubną, ale przedewszystkiem miałam lat 16 i ani troszkę doświadczenia... Dlatego nazajutrz wieczorem marszałek otrzymał ode mnie słowo. Uradowany, chciał naznaczyć termin ślubu w zapusty, ale uległ mej prośbie iżby ten akt odłożyć na później, do wiosny.

— Wujciu — mowiłam pieszczotliwie, — cóż jednak na to powie twoja córka, wielka Wanda? Zamiast ją najpierw wydać za mąż, sam się żenisz dając jej za macochę dawną koleżankę, młodszą od niej i ani troszeczkę tak dobrą jak ona. Pozwól mi zatem marszałku, że ja jej sama oznajmię o twem postanowieniu.

To mówiąc uśmiechałam się po swojemu, a marszałek rozpromieniony, odmłodzony, pełen zachwytu całując moje ręce, przystawał na wszystko. Przełożonej miał o tem osobiście powiedzieć za najpierwszą bytnością w Warszawie, ja zaś ze swej strony miałam donieść tę nowinę babuni, o której powiedziałam nowemu narzeczonemu. Tymczasem jednak ułożone między nami małżeństwo miało pozostawać w tajemnicy, aż do ostatnich dni przed ślubem.

Czy nie domyślacie się dlaczego chciałam oznajmić sama wielkiej Wandzie o tem, że ja, niedawno ukochana Rolanda mam pójść za mąż, za jej ojca? Oto dlatego, że obawiałam się mocno wrażenia, jakie wiadomość ta wywarłaby na Wandzie i które następnie nie uszedłszy bacznego oka jej ojca, mogłoby wywołać w nim pytanie, co to znaczy? Co się w tem ukrywa?

Postanowiłam nawet nie wspominać przyjaciołce o tym związku dotąd, dokąd najpierw nie zwrócę Rolandowi słowa, nie powiem mu, że już nie zostanę jego nigdy, nigdy.

Myśląc często o nadejściu tej chwili, doszłam nagle do wniosku, o jakim nie śniło mi się przez czas tak długi, że Wanda kocha Rolanda. Do wniosku takiego doszłam przy szukaniu sposobu usprawiedliwienia odmowy Rolandowi, jak złodziej, który kradzież swą stara się upozorować najlepszemi pobudkami. Wówczas przypomniała mi się fotografia Rolanda, znaleziona w książce Wandy, pomieszanie tej ostatniej i nakoniec wszystkie najdrobniejsze okoliczności, na jakie nie zwracałam poprzednio żadnej uwagi. Tak, z pewnością, ona go kocha, mówiłem sobie, i tego przypuszczenia uchwyciwszy się jak kotwicy, postanowiłam działać odpowiednio, i odmowę swą upozorować poświęceniem dla Wandy. Byłam bowiem tyle fałszywą, że nie chciałam otwarcie przyznać się do winy, czując cały wstyd, hańbę niemal spływającą na mnie z tego samolubnego czynu.

* * *

Zbliżyły się szybko pierwsze wieści o wiośnie, przylot hożych jaskółek, rozkwitanie pierwiosnków i w ogólności całej natury budzącej się do życia. Zaczęły się okrywać białym kwieciem drzewa w ogrodzie, zazieleniały stepy, ozwała się rzewna piosnka Ukraińca, i serce uderzyło żywiej w mojej piersi. W tej wiośnie miało nastąpić rozwiązanie mego życia, miałam odkryć nową, nieznaną drogę.

Roland donosił z Kaukazu, że lada dzień przybędzie do Bironki. Skarżył się, że koresponduję z nim zbyt mało i chłodno, że dziwne jakieś przeczucie uciska mu piersi, a uciska tak, że nie uspokoi się, aż dopiero wtedy, gdy zobaczy mnie i usłyszy słowa miłości wiernej. Biedak! on już naprzód przeczuwał, że słów tych nie usłyszy z moich ust nigdy.

Dnia jednego wybrałam się z Wandą i Anusią na przejażdżkę do lasu tego samego, w którym zimą odbywały się wyścigi. Było to rankiem, słońce wzniosło się już wysoko, ptaki zawodziły pieśń swą radosną, pobudzając nas tem samem do wesołości.

— Wando, jak tu przyjemnie — zawołałam podskakując na zielonej murawie.

— Cudnie doprawdy — odpowiedziała napawając się balsamiczną wonią — zdaje mi się, że mówiłaś kiedyś, iż właśnie w tym lesie oświadczył ci się Roland, dodała niby z niechcenia.

— Tak, miało to miejsce na samym skraju lasu—potwierdziłam obojętnie.—Moja wielka Wando — nie dziw się memu zapytaniu, ale chciałabym wiedzieć, czy bardzo lubisz Rolanda?

— Zkądże takie zapytanie? — odrzekła moja przyjaciołka wielce zdziwiona.—Widząc, że zamierza nie odpowiedzieć mi wcale, a natomiast przywołuje Anusi, która nieco zdaleka plotła dla mnie wieniec z dzikich fiołków, poskoczyłam ku niej podobna zwinnej tygrysicy i zawiesiwszy się na jej szyi, zapytałam powtórnie.

— Lubciu kochana, powiedz mi czy lubisz Rolanda?

Twarz Wandy zbladła tak jak wówczas, kiedy czytała list Rolanda pisany do mnie, ów list miłosny. Wpatrywałam się w nią ciekawie, zdradziecko, lecz jej oczy spuszczały się uporczywie ku ziemi, a ręce odpychały mię zlekka, jakby nie chcąc przytrzymywać tej, która tak uparcie ją wypytywała.

— Czemuż mi nie chcesz odpowiedziéć? Czy może nie lubisz go? badałam dalej natrętnie.

— Ani jedno, ani drugie — brzmiała odpowiedź przyjaciołki.

Na tem urwała się rozmowa, ponieważ w tej samej chwili nadbiegła swywolna Anusia z ogromnym wieńcem fiołków, jakim ozdobiła moją głowę. Następnie każda z nas udała się w inną stronę lasu dla dowiedzenia, która uzbiera największy bukiet z polnych kwiatów. Z wesołą piosenką na ustach oddaliłam się w głąb i nazbierawszy bukiet objętości dłoni, spacerowałam sobie podtrzymując fałdy białej muślinowej sukni z obawy, iżby jej nie pozielenić. Fiołkowy wieniec poczochrał mi nieco kędziory rozwiewające się jak czarne, świetne wstęgi. Coraz głośniej, weselej rozlegała się pieśń moja, budząc echo leśne, aż nagle zdało mi się słyszéć rżenie konia. Obejrzałam się w około upatrując sprawcę tego, ale nie widząc nikogo pochyliłam się do kępki białych dzwonków, mających służyć za ozdobę bukietu.

— O! jakie ładne — zawołałam napół głośno do siebie.

Jednocześnie rżenie powtórzyło się, odgłos lekki kopyt końskich dał się słyszeć, a gdym przelękniona nieco stanęła wyprostowana, z poza drzew ukazała się najpierw postać czarnego rumaka, a na nim... kapitan Roland.

— Ah! — zawołałam przeciągle. Bukiet fiołków wyleciał mi z dłoni osypując całą suknię żywem ubraniem. Roland w jednym skoku znalazł się u stóp moich.

— Jedyna, ukochana — szepnął namiętnie cisnąc do ust moje ręce.

Na razie zostałam jak skamieniała. Nie spodziewałam się takiego zbiegu okoliczności, dlatego teraz stanęło mi przed oczami wszystko, co zaszło między mną i marszałkiem, wszystko, co miałam powiedzieć kapitanowi. Roland zerwał się z kolan i chwyciwszy mnie gwałtownie całował gorąco...

— Kapitanie, puść mię natychmiast! — zawołałam z mocą. Kapitan ulegając mimowoli prawie nakazującemu głosowi, opuścił ręce.

— Kapitanie, niewolno ci już witać mnie z takim zapałem — rzekłam niby poważnie a jednak z pewną kokieteryą.

— To ma być przywitanie takie, Wando! — zawołał Roland zdziwiony.

— Kapitanie — powiedziałam — powtarzam ci raz jeszcze, że niewolno witać mnie w ten sposób.

— Co to znaczy? — wykrzyknął prawie Roland.

— Już nie będę twoją nigdy — wyjąkałam nakoniec.

— Jakież to okrutne żarty! — zawołał osłupiały kapitan.

Czytałam nieraz o podobnych zajściach w romansach, dlatego teraz widząc siebie bohaterką prawdziwego romansu, starałam się okazać największy spokój chociaż wstyd twarz moją oblewał rumieńcem.

— Panie Rolandzie! — ozwałam się po chwilce, chcąc w jakikolwiek sposób usprawiedliwić się.— Jam cię niegodnie oszukała. Nie byłam ani jestem żadną krewną marszałka, lecz po prostu nauczycielką jego młodszej córki.

Spojrzawszy bacznie przy tych słowach w twarz Rolanda, z wielkim mym podziwem nie znalazłam w niej zdumienia, zawodu lub troski.

— Cóż mię może obchodzić stanowisko twoje, kiedy ja ciebie jedną, dla ciebie samej kocham. Czybyś była księżną, czy biedną wyrobnicą, uwielbiałbym cię jednakowo — mówił dalej z wysileniem kapitan.

Jakiż on wówczas był piękny i szlachetny! Kochał mnie dla mnie samej, bez względu na jakiekolwiek okoliczności, a jakże odmiennem było moje postępowanie. Gdyby Roland był księciem, niewątpliwie oddałabym mu swoją rękę, uznając ją za godną książęcej mitry, ale tak...

— Dla mnie samej? — powtórzyłam — wdzięczną ci jestem kapitanie za tyle uczuć, wszelako muszę je zwrócić ci z podziękowaniem.

Nie zapomnę nigdy wzroku, jakim mnie wtedy orzucił kapitan. Było w nim tyle zdziwienia, smutku, rozpaczy, że nie mogłam wytrzymać go i spuściłam oczy ku ziemi.

— Ależ na miłość bozką, co to wszystko znaczy? — zawołał Roland mocnym głosem.

— To, że nie będę żoną twoją — wyrzekłam nakoniec.

— Ale dlaczego, dlaczego? — z krzykiem niejako powtórzył zapytanie.

— Nie mogę nią być, nie mogę — mówiłam uparcie zbierając fiołki z mej sukni.

— A! — krzyknął nagle, uderzając się w czoło — jeśli dlatego żem niebogaty... to...

— Nie przeklinaj, zawołałam, wyciągając rękę—nie przeklinaj, bo najczęściej naraża się przeklinający na śmieszność, w obec groźby jaka się spełnić nie może.

— Nie może! — powtórzył gorzko kapitan.— Więc panno Wando nie wierzysz w ból serca, w rozpacz zawiedzionych nadziei, w to wszystko, co przejmuje wściekłością prawie na widok takiej niewierności a i cynizmu, jeśli odmawiasz mi ręki dlatego, żem niedość bogaty...

Ponieważ właściwy powód odmowy, postanowiłam trzymać w tajemnicy, odrzekłam więc z zupełnym spokojem:

— Wiem dobrze, że żądza bogactwa, wyniesienia, lub w ogólności wszystkiego co się zowie chciwością, źle bardzo przedstawia każdego a szczególniej kobietę, ale tutaj... nie miało to miejsca.

— Więc cóż jest powodem twego zerwania? — zawołał błagalnie Roland.—O! Wando — mówił dalej drżącym głosem. — Nie mogę wierzyć, że od ciebie słyszę to coś mi powiedziała. To jakiś straszny sen, z którego musisz mnie wybawić.

I znów kapitan mimowoli prawie zgiął kolano, całując mi ręce namiętnie.

— Przypomnij sobie nasze pożegnanie — mówił dalej — przypomnij twą obietnicę wierności i cofnij wyrazy wyrzeczone przed chwilą, powiedz, że to żart okrutny, że... Z ust kapitana polał się potok słów błagalnych, mimo tego stałam niewzruszona, jak statua marmurowa z jednym wyrazem twarzy zimnym i obojętnym. Cofnąć słowa—nie mogłam bo przyznając się do uwodzenia marszałka, wywołałabym w Wandzie wzgardę dla siebie. Raz jednak, krótko jak mgnienie oka, uczułam żal za poczciwym dobrym Rolandem. Któż mię tak kiedy pokocha, pomyślałam wtedy, jak on? Kto będzie przemawiał wyrazami, zdolającemi zmiękczyć najtwardsze serce kobiety jak ten biedak przeze mnie opuszczony? I wtenczas umilknąwszy chciałam uśmiechnąć się po dawnemu do kapitana, ale na nieszczęście oczy moje padły na epolety, co przypomniało mi, że Roland jest tylko kapitanem, gdy marszałek jest właścicielem Bironki i wielu innych włości. Pochyliłam się więc ku kapitanowi i rzucając nań promiennym wzrokiem, rzekłam.

— Nie, panie Rolandzie, wszystko co ci powiedziałam było prawdą i dlatego musimy się z sobą rozłączyć koniecznie, bo... bo i na cóż mam taić... jestem już narzeczoną?

Piorun padający u nóg kapitana, nie przeraziłby go więcej, jak moje słowa. Chwilę trwało milczenie... nagle kapitan rozśmiał się a śmiech ten odbił się echem po lesie jak zgrzyt szkła nożem krajanego. Nie wywołał jednak współczucia we mnie, przyjęłam go zimno, obojętnie. Ale teraz Roland już nie prosił, nie uśmiechał się miłośnie, tylko twarz jego przedstawiała taką dla mnie wzgardę żem aż zadrżała.

— Narzeczona! ha! ha! narzeczona!—powtórzył z szyderstwem. I to mówisz ty Wando strojna postacią anioła? Mamże ci powiedzieć na co zasługujesz? Oszukiwałaś mnie więc, chciałaś na mnie pierwszym spróbować siły twych wdzięków. Jeżeli tak postąpiłaś ze mną, to może teraz jak prawdziwa zalotna guwernantka pragniesz opanować marszałka, który zapewne nawet nie przypuszcza jak miłą osobę utrzymuje w swym domu...

— Milcz!...—zawołałam rozgniewana do najwyższego stopnia.—Jestem narzeczoną marszałka!...

Mimowoli spuściłam oczy pod groźnym wzrokiem kapitana, który się rozśmiał jeszcze głośniej i jeszcze bardziej szyderczo.

— A! więc zapewne kochasz go pani, bo przecież posiadłości Birońskiego dworu są godne tego Zapewne usidliłaś marszałka sama, chcąc musprzysłonić oczy, iżby nie poznał twej rzeczywistej wartości? W samej rzeczy, to wcale dobry interes zostać marszałkową, odepchnąć kapitana, dlatego tylko, że on nie ma dworów i wsi. Ha! ha! moja piękna pani, gdybyś dzisiaj nie marszałkową, lecz samą następczynią tronu została, nie uchyliłbym już głowy przed tobą.

Na tę pogardliwą mowę wysłuchawszy jej z dumnie podniesioną głową, obojętnie na pozór, chociaż czułam w duszy, że kapitan ma zupełną słuszność odrzekłam spokojnie:

— Pomimo słów tak mi ubliżających, radzę ci kapitanie abyś się zbytecznie nie unosił...

— A ja radzę pani — przerwał Roland silnym głosem — strzeż się zostać kokietką, bo to rola bardzo niebezpieczna. A teraz żegnam panią... na zawsze, a marszałkowi jadę powinszować... dobrego wyboru. I rzekłszy to dosiadł konia i znikł mi z oczu jak błyskawica. Gdym została sama ani jedna łza nie spadła mi z oczu, ani razu nie zabiło serce za odjeżdżającym, którego ostre słowa obudziły we mnie raczej gniew jak żal i upamiętanie. Może nawet uśmiech zadowolenia oszpecił moje usta, bo jakkolwiek kapitan przemawiał boleśnie i dumnie zarazem, to wychodzić to mogło jedynie z głęboko zranionego uczucia.

— On mię jeszcze kocha! mówiłam sobie, bo nie chłodnem milczeniem, ale namiętnym wyrzutem rzucał mi w oczy niewiarę szamocząc się jak lew, który daremnie radby zdruzgotać żelazną więzienną klatkę. Nagle ukazała się na pobliskim wzgórku Wanda. Szła ku mnie szybko, jakby śpiesząc umyślnie, nie bez przyczyny.

— Wańdziu — zapytała — czy był tutaj kapitan Roland?

Odpowiedziałam twierdząco.

— Coś się stało z nim niezwykłego — mówiła Wanda — bo pędził konno lotem strzały, nie spostrzegł ani mnie ani Anusi, chociaż przebiegł tuż koło nas. Przytem był niezmiernie blady i niezwykle jakoś wyglądał, o ile przynajmniej mogłam to spostrzedz.

— Był blady i niezwykle wyglądał — powtórzyłam szyderczo... Czy to może znaczyć, że i ja jestem blada i niezwykle wyglądam — dokończyłam z udanym śmiechem.

Wanda spojrzała na mnie uważnie i zdawało mi się, że niepokój jakiś odbił się na miłej jej wyrazistej twarzy.

— Czy zaszło co między wami? — spytała znów po niejakiej chwili milczenia.

— Tak, Wando kochana; kapitan dowiedział się ode mnie, że nie zostanę nigdy jego żoną...

— Co? — przerwała gwałtownie Wanda — co to ma znaczyć?

— Nic nadzwyczajnego — odparłam wzruszając ramionami — poprostu odmówiłam mu swej ręki.

— Dlaczego, dlaczego uczyniłaś to? — krzyknęła Wanda z boleścią...

— Nie badaj powodów, jakie mnie do tego skłoniły, ale wiedz, że chciałam uczynić ojca twego i ciebie szczęśliwą co się właśnie spełniło.

— Mego ojca i mnie? — powtórzyła Wanda w osłupieniu.

— Tak, ale błagam cię, nie rób mi żadnych wyrzutów, wymówek, kiedy powiem ci poprostu, że jestem narzeczoną twego ojca, a Rolandowi odmówiłam, ponieważ... ponieważ... przyznaj szczerze, kochasz go sama.

Wanda krzyknęła i zasłoniła twarz dłoniami.

— Czy się na to gniewasz? — zapytałam obejmując przyjaciółkę wężowym uściskiem.

— Wańdziu moja kochana, Wańdziu, nie rozumiem doprawdy, co zamierzasz uczynić, co to wszystko znaczy?

— To znaczy, że zamierzam zostać żoną marszałka, dla ciebie surową macochą i w dodatku dać ci Rolanda.

Wanda w milczącem zdumieniu patrzyła na mnie.

— Posłuchaj kochanko — rzekłam opierając ręce na jej ramionach. — Siądźmy tu na murawie, powiem ci wszystko. Jeszcze zostaje dość czasu do obiadu — dodałam wyjmując zegarek wysadzony brylantami, upominek marszałka. — Siadłyśmy zatem na murawie i zaczęło się opowiadanie, w ciągu którego Wanda ani słowa nie powiedziała słuchając w milczeniu. Opowiedziałam jak Roland pragnął zaślubić mię, jak i mnie się zdało że go kocham rzeczywiście, dopiero gdy marszałek stateczny, poważny człowiek oświadczył mi się o moją rękę, poznałam dopiero wiotkość uczucia dla Rolanda obudzonego, a trwałość miłości na szacunku opartej. Skutkiem tego oświadczenie ojca twego przyjęłam a Rolandowi odmówiłam.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WIADOMOŚCI

z pod naszej strzechy i z obczyzny.

Pracownicy w drukarni Kuryera Warszawskiego, pragnąc uczcić pamięć ś. p. J. I. Kraszewskiego, który im tyle nastręczał zajęcia, rzucili myśl pomieszczenia w kościele S go Krzyża tablicy pamiątkowej i na jej przygotowanie pierwsi złożyli rubli 10 do których Redakcya ze swej strony 25 dołożyła.

Szanowny Pług Antoni Pietkiewicz, wziąwszy do serca to zacne pragnienie Towarzyszy sztuki drukarskiej, prowadzi już narady z rzeźbiarzami i architektami i powiada, że tablica owa pamiątkowa mogłaby być w tym rodzaju co dla Szopena ozdobiona jego portretem z napisem odpowiednim.

Pątnicy. Przed rokiem donosiliśmy o pobożnej pielgrzymce do Ziemi św. p. Jana Garnkowskiego, właściciela Krzeszowa w augustowskiem.

Towarzyszyli mu w tej dalekiej wyprawie dwaj włościanie: Tomasz Mechling i Kajetan Luboński.

Pobyt pielgrzymów za granicami kraju trwał cały rok, lecz dwaj z nich tylko wrócili, Mechling bowiem 60-letni, schorowany człowiek, w Palestynie życie zakończył. Śmierć zaskoczyła polskiego chłopka w Betlejemie, prawie nagle, bez możności ratunku.

Tam też został pochowany.

Zasmucony śmiercią wiernego swego towarzysza, pan Garnkowski wraz z Lubońskim w powrotnej drodze zatrzymał się dłużej w Konstantynopolu.

Ów Luboński, lubo chodzi w siermiędze, wyróżnia się od innych włościan niepospolitą bystrością umysłu i pewną ogładą oraz posiada spory zasób wiadomości, dużo bowiem czytał, a daleka pełna wrażeń podróż, rozwinęła zdolności chłopka.

Mieliśmy sposobność poznać Lubońskiego u jednego z tutejszych kapłanów, który go namawia do opisu odbytej pielgrzymki na wzór znanej swojego czasu broszurki ludowej Feliksa Borunia, wędrującego z hr. Walerym Wielogłowskim do Rzymu.

Pątnik w zasadzie propozycyę przyjął, lecz niewcześniej obiecał zabrać się do pisania, aż wrażenia z podróży przetrawią się, teraz bowiem jest wszystkiem co widział i słyszał zanadto przejęty.

Kmiotka naszego czekają nowe jeszcze wrażenia, gdyż zgodził się towarzyszyć p. Garnkowskiemu do Tyrolu, dokąd p. G. został z powodu nadwątlonego zdrowia przez tutejszych lekarzy wysłany.

Pocieszające. W Brzeczowie w pow. Mławskim, zdarzył się fakt prawdziwie zadziwiający. Włościanin wsi Mostowo Aleksander Mostek, sprzedawszy kilka morgów lasu na opędzenie długów, pozostałe mu 36 rs. złożył na ręce właściwej władzy gminnej, przeznaczając je na kupno książek, mających służyć jako zawiązek czytelni ludowej gminnej. Uczynił to wedle własnych jego słów celem rozjaśnienia głów ciemnych swoich współbraci, sądzę że pocieszający ten objaw należy zakomunikować szerszemu kołu czytelników.

Resursa damska. W ostatnich czasach nasze panie starają się naśladować płeć brzydką w najdrobniejszych nawet szczegółach.

Niedość, że strzygą włosy, noszą kapelusze, zbliżone do cylindrów męzkich i starają się o posady tramwajowych konduktorów, lecz obecnie zamierzają urządzić specyalną dla siebie resursę, rodzaj klubu dla codziennych zebrań.

Odpowiednio urządzony lokal ma mieścić czytelnię, bufet, a nawet, jeźli mamy wierzyć doniesieniu... bilard. Myśl ta ma stać się faktem jeszcze w r. b.

Musiała płeć brzydka bardzo już dokuczyć słabej, skoro ta ostatnia coraz bardziej od niej się odsuwa...

Nagroda cnoty. Kuryer Warszawski przytacza treść testamentu ś. p. Tadeusza Roszkowskiego, który na wzór Monthyon'a zapisał 55,000 rub. jako fundusz na nagrodę cnoty. „Im dłużej żyję na świecie, są to słowa testatora, tem coraz dowodniej się przekonywam, że ludzi cnotliwych ze świecą dziś szukać należy." Przyczynę takiego smutnego objawu widzi zapisodawca w tem, że ludzie „nie widzą dla siebie interesu prowadzić życia moralnego, bogobojnego, a podstawy wiary nie znają i przyszłej nagrody cnoty w wieczności nie pożądają (tak)." Wychodząc z tej zasady, przeznacza testator 55,000 rub., żądając aby je oddano na procent, dopóki kapitał nie wzrośnie do 100,000 rubli. Obliczając od kapitału 5 proc., testator pragnie, aby otrzymane w ciągu trzech lat 15,000 r. były przeznaczone na konkurs trojakiego rodzaju cnot: publicznych, domowych i miłości bliźniego.

Ostatnie obrady nad Sprea powiększyły u nas bardziej jeszcze niechęć do naszych zachodnich sąsiadów.

W jednym z zakładów fabrycznych postanowiono pozbywać się stopniowo wszystkich pracowników niemców.

Kupcy zaś germańskiego pochodzenia coraz więcej starają się ukryć cechy narodowości, nadając firmom brzmienie polskie.

O rodaku naszym p. Babińskim, inżynierze górniczym, który dłuższy czas przebywał w Peru, zamieszcza dziennik tamtejszy, wychodzący w Limie p. t. „El Commercio" bardzo pochlebny artykuł. „P. Babiński—pisze ten dziennik — położył świetne zasługi. Od chwili swego przybycia do Peru, zajął się badaniem kraju pod względem geologicznym i bogactw górniczych. Zwiedzał obszerną przestrzeń naszej republiki we wszystkich prawie kierunkach i śmiało to powiedzieć możemy, że oprócz Antoniego Rajchmana, nie było i nie ma nikogo, coby tak gruntownie zbadał bogactwo mineralne i naturę geologiczną naszego kraju."

We Lwowie zawiązało się Towarzystwo p. t. *Oświata* — galicyjskie stowarzyszenie pomocy naukowej dla uczniów i uczenic szkół ludowych, wydziałowych i średnich. W zakres działalności wchodzi opłata wpisów, wypożyczanie książek, sprawianie odzieży i t. d.

Mieszkanki stanu Kansas w Ameryce, po długiej a zaciętej walce przeprowadziły nareszcie prawo głosowania kobiet przy wyborach, z niemałem też zajęciem czekano w Stanach-Zjednoczonych rezultatu wyborów miejskich mających się odbyć w Kansas w ubiegłym tygodniu. Próba wypadła nader niepomyślnie, a ci, którzy spodziewali się, iż wprowadzenie prawa głosowania kobiet położy tamę panującemu podczas wyborów miejskich przekupstwu, zostali gorzko rozczarowani. Nietylko bowiem, że w miastach, jak Leavenworth, Lawrence i inne, gdzie żywioł kobiecy przeważał, przebieg wyborów był niesłychanie burzliwy, a przeciwniczki okazały niebywałą zaciętość względem siebie na polu podstępów i wybiegów wyborczynie prześzły najwytrawniejszych nawet w tym kierunku kolegów swoich. Główny udział w wyborach przyjmowały murzynki i białe sawantki, gdy tymczasem Amerykanki do prawdziwie inteligentnej sfery należące, trzymały się zdala od całego ruchu wyborczego. Podobno pionierki same zrażone wielce tą niefortunną pierwszą próbą, mają nadal zrezygnować ze zdobytego z takim wysiłkiem prawa głosowania.

Alfons Daudet o Ryszardzie Wagner. W dzienniku paryzkim *Temps* zabiera głos Alfons Daudet, celem wyjawienia zapatrywań swoich na utwory Ryszarda Wagnera, który jako librecista nie znajduje łaski u znakomitego powieściopisarza. „Libretta te", twierdzi autor „Safony", — „pisane są najwidoczniej dla ludzi przyzwyczajonych do nudów i pozwalających się przez nie usypiać." Natomiast o muzyku Wagnerze pisze Daudet co następuje: „Siedzisz w teatrze na krześle swojem, otulony niemiecką mgłą, gdy naraz podnosi się niespodzianie w orkiestrze fala! Powstaje ona z nieprzejrzanej głębi, chwyta nas, toczy się tysiąc stóp muzycznych ponad nami, unosi nas bez oporu, dowolnie. Jakiemiż słowami śpiewać ma ten elementarny potężny głos? Nigdy nie odczułem tak wyraźnie, że muzyka jest niewysłowioną mową! Jedyne wyrazy, jakie nieustannie bez żadnego związku trzebaby kazać mówić tym duchowym ustom są: „Morze... Łzy... Żałoba... Wojna!" Przedewszystkiem wojna! Śród tego hałasu muzyki wojennej, ja Latyn, widziałem wznoszącego się straszliwego Saksona, zapamiętałego wielbiciela cesarza i miecza; a w rytmie taktów, w głębokich, dźwięcznych tonach instrumentów smyczkowych słyszałem ciężkie stąpanie mas wojennych w pochodzie, obronę kraju i pospolite ruszenie! Tak, we wszystkich operach Wagnera wre wojna, ze swoim okrzykiem bojowym, z obozowem życiem, fanfarami i odgłosem trąb. Poznałem ja ją w akordach „Lohengrina", tę niemiecką muzykę bojową, którą słyszałem w lesie Champrosay, gdyśmy stali naprzeciw siebie, na odległość strzału! Dźwięczała ona wieczorem czysto w oddali hałaśliwą nutą swoją, która — było to w miesiącu maju — zniewalała do milczenia nasze słowiki w gajach."

Praca kobiet. Grono kobiet w Wiedniu, powzięło myśl założenia spółki wytwórczej dla pozbywania ręcznych robót kobiecych z pominięciem pasorzytnych pośredników. Na razie wydano odezwę publiczną, celem zebrania kapitału potrzebnego na założenie spółki. Między podpisami znajduje się wiele znanych literatek i artystek, żon posłów i wielkich przemysłowców.

Są różne upodobania często na dziwactwa zakrawające, którym dość nadziwić się nie można.

Do podobnych dziwaków należał i pan B. obywatel z Płockiego, człek zamożny i powszechnie szanowany, który szczodry we wszystkiem miał manię oszczędności... w wydatku zapałek, posuniętą aż do śmieszności z czego sam się często naśmiewał. W czasie bytności w Szczawnicy, poznał się ze ś. p. Józefem Szujskim, który pokochawszy go w dzień wyjazdu przesłał mu na pożegnanie wierszyk następujący:

Panu B.

Hojny na wszystko — na bale — szampany,
Wózki — bukiety — słów wieniec różany,
Komplemencista dla górskich rusałek;
Cóż go ratuje, że człowiek żonaty
Gra kawalera i pędzi gdzieś w światy?
Ratuje jedna... Oszczędność zapałek!

Któż od młodzieńców odróżni go rzeszy?
Językiem grzeszy i spojrzeniem grzeszy.
Kto wie, czy więcej nie zgrzeszyłby śmiałek...
Gdyby nie jedno — gdyby nie ta cnota,
Że choć okazya przyjdzie i ochota
Wstrzymuje jedno: Oszczędnośc zapałek!

Więc kto rozsądnie tak swój żywot mierzy,
Temu się premia, temu dank należy;
Chwały on godzien wyższej od przechwałek,
Niech wstrzyma skąpstwa harpagońskie dreszcze,
Z wód niebezpiecznych niech wywiezie jeszcze
Sutą kolekcyę zapałek.

* * *

Piękne za nadobne. Oryginalny pojedynek odbył się niedawno w Anglii, pomiędzy lekarzem wojskowym d-rem Young, a oficerem kawaleryi. D-r Young płynąc z paniami łódką na Tamizie do Vauxal, przygrywał na flecie, spostrzegłszy jednak iż w ślad za nimi dążyła inna łódź z damami i oficerami, którzy z upodobaniem, jak się zdawało, przysłuchiwali się jego muzyce, przestał grać. Niebawem jeden z oficerów zapytał go w niegrzeczny sposób, dla czego grę przerwał. „Bo mi się tak podoba," odparł doktor. „Będziesz pan natychmiast grał dalej, albo wrzucę pana do wody." Dr. Young, który nie umiał pływać, wziął flet i grał aż do Vauxhall, ale w chwili gdy wysiedli, udał się za oficerem do oddalonej alei i zażądał od niego satysfakcyi za obrazę, wzywając do stawienia się nazajutrz w oznaczonem miejscu, w celu pojedynkowania się na szable, ale bez świadków. Oficer wyzwanie przyjął i o oznaczonej godzinie stanął na placu boju. Wszakże ku niemałemu zdumieniu jego, doktor wyjął z kieszeni pistolet i celując prosto w jego głowę, rzekł: „Zechcesz pan teraz łaskawie zatańczyć menueta po mojej muzyce na flecie, chyba, że pan wolisz, abym go zastrzelił." Żadne perswazye nie pomogły i oficer nakoniec ujrzał się zmuszony tańczyć. Po kwadransie doktor schował flet i oświadczył oficerowi: „Teraz jesteśmy skwitowani, mój panie. Pan mi wczoraj wbrew mej woli kazałeś grać, a ja dzisiaj zmusiłem pana do tańczenia. Jestem jednak na pańskie usługi, jeżeli się pan chcesz pojedynkować, ale tym razem już w obec świadków. Do miłego widzenia!" Sprawa wszakże na tem się skończyła.

* * *

Przytomność umysłu. W małym prowiacyonalnym teatrzyku, dawano sensacyjny dramat. Bohater sztuki zamordował co tylko niegodziwego intryganta i ten padł nieżywy na ziemię. Lecz nagle zamordowany uczuł okropne swędzenie w nosie i nie mogąc sie powstrzymać, zaczął, ku wielkiej uciesze publiczności, głośno kichać. Wówczas bohater wydobył szybko raz jeszcze miecz z pochwy i rzucił się na kichającego nieboszczyka, wołając: „Ha, nędzniku, dyszysz jeszcze!"

* * *

Bezinteresowny konkurent. Młodzieniec po dość długiem staraniu oświadczył się wreszcie o pannę obliczoną na milion posagu, powiadając, że jedynie najserdeczniejszą miłością powodowany, pragnie się z nią węzłem małżeńskim połączyć.

— Być może — odpowiada matka — że uczucia...

— Jakto, być może? — przerywa młodzieniec.

— Niech to pana nie dziwi, że jestem ostrożną i trochę niedowierzającą — odpowiada matka — milion to rzecz bardzo ponętna...

— Ale nie dla mnie — domawia młodzieniec— jam zupełnie bezinteresowny, tak dalece, że przyjąłbym rękę panny Honoraty choćby zamiast miliona tylko pół miliona miała w posagu.

— A gdyby ten wynosił tylko ćwierć miliona, albo...

— Ah! pani, nie kończ, zbyt to bolesne żarty dla mego prawdziwego uczucia.

— A jednak czuję się w obowiązku oświadczyć panu, że ów rozgłoszony milion posagu jest tylko fikcyjny...

— Co, co, co? — zawołał młodzieniec zrywając się jak oparzony z krzesełka. — Wybacz pani ale nie zasłużyłem na podobne lekceważenie uczuć moich szczerych. Żegnam panią.

Wybiegł i już więcej nie wrócił, bo wymyszkował, że ów milion był tylko rzeczywiście... fikcyjnym.

OD REDAKCYI.

☞ Tom ósmy seryi drugiej pism Alberta Wilczyńskiego, już wyszedł z druku i obejmuje:

GAŁERYĄ DYLETANTÓW:

Wspólnicy. — Pierwszy zawód. — Literacka sofa.

Wydawnictwo to redakcya przeznaczyła na premium nadzwyczajne dla swoich prenumeratorów, obniżając dla nich cenę do minimum bo do połowy ceny księgarskiej.

Cena prenumeracyjna pism Alberta Wilczyńskiego:

Dla prenumeratorów Tygodnika Mód i Powieści" *w Warszawie:*
za tom kop. **60**; za tomów 12 rs. **7** k. **20**

w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:
za tom kop. **70**; za tomów 12 rs. **8** k. **40**

Dla nieprenumerujących Tygodnika Mód i Powieści" *w Warszawie:*
za tom rs. **1** k. **20**; za tomów 12 rs. **14** k. **40**

w Cesarstwie i na Prowincyi wraz z przesyłką pocztową:
za tom rs. **1** k. **30**; za tomów 12 rs. **15** k. **60**

Należność prenumeracyjną można wnosić rocznie, półrocznie, kwartalnie, lub też za każdy tom oddzielnie.

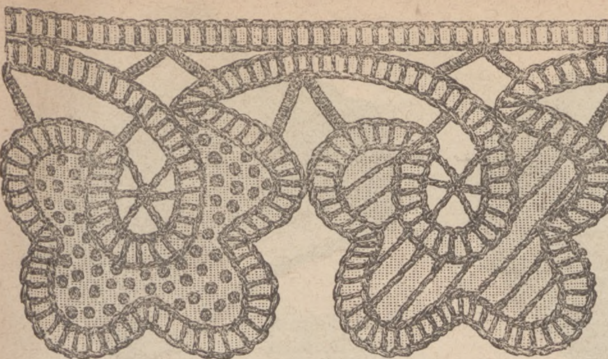
Adres: J. K. Gregorowicz, w Warszawie, Chmielna Nr 26 nowy.

ZAWIADOMIENIA.

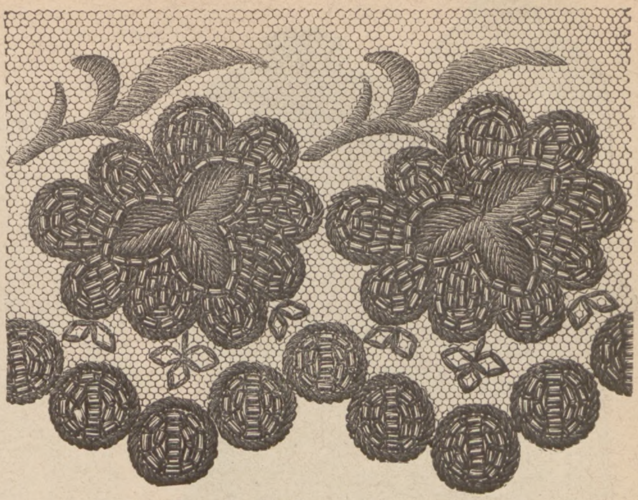
☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się arkusz z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 8 Мая 1887 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego. Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.



N. 1. Szlak haftem łańcuszkowym weneckim.



N. 2. Koronka haftowana i wyszyta perełkami.



N. 3—4. Stanik przybrany guziczkami i chusteczka z włóczki crêpe de chine. Patrz ryc. 12—13.

Opis do N-ru 21.

(*Dokończenie*).

N. 37—38. Spódnice wełniane.

Rycina 37 przedstawia spódnicę krajaną w kliny, z materyału wełnianego w pasy piaskowe, białe i pąsowe, z przodu 90 z tyłu 95 cent. długą u góry 142 u dołu 208 c. szeroką, zakończoną plisowaniem 19 cent. szerokiem. Brzeg górny wszyty w pasek $3 \frac{1}{2}$ cent. szeroki, z tyłu nawleczony tasiemką do ściągania. Druga spódniczka z popielatej wełny, ma wolant układany w kontrafałdy 6 cent. szerokie, wierzchem których dane wyszycie bawełną pąsową i popielatą.

N. 39 i 50. Suknia z kaftanikowym stanikiem.

Spódnica może być plisowana lub układana w kontrafałdy, tunika składa się z szerokiego bryta przedniego, z jednego boku sfałdowanego u góry, wszytego w pasek i spadającego aż do dołu, z drugiej strony ściśle sfałdowanego i przyszytego w górze podług ryc. 50. Tylny bryt prosty 280 cent. szeroki, 107 cent. długi ma brzegi boczne sfałdowane wraz z brzegiem górnym i z boków ułożone w fałdy beduinowe podług ryc. 39. Formę kapturka znajdą czytelniczki na przeszłorocznych dodatkach z krojami.



N. 5—6. Sukienka z szalowym kołnierzem.

N. 40 i 46. Okrycie krótkie.

Formę okrycia dopasować można podług kroju do ryc. 5—6 w N-rze 6 Tyg. Mód z tą różnicą, że plecy zamiast baskiny przedłużonej mają dodane plisowanie 11 cent. długie, 113 cent. szerokie, zachodzące z boków 13 cent. szeroko na rękawy z tyłu, jak to wskazuje ryc. 40; na przyszyciu przyszyty sznur jedwabny, zakończony rozetami szmuklerskiemi. Takież zapięcie z przodu.



N. 9. Pudełko do fotografii.

N. 41 i 44. Suknia z vêtement. Guzik patrz ryc. 5 w N-rze 20.

Odrobiona z czarnej materyi ottoman i z wełny w drobną kratkę popielatą; sznury, guziki i rozety popielate szmuklerskie. O ile widoczna z pod vêtement spódnica przykryta jest fałdowaniem, ułożonem w kontrafałdy 10 cent. szerokie. Przody stanika zapiętego na kryte haftki pod kamizelką z materyi mają szerokie wykłady skrzyżowane u dołu w ten sposób, że prawy zachodzi skośnie na lewy bok; w górze brzeg ranwersów wpuszczony jest w szew na ramionach i częścią wpada w szew pachy. W rękawy na podszewce podłożone jest plisowanie z materyi, w formie szpiczastego klina, 7 c. szerokiego u góry. Dolna połowa vêtement otwartego z przodu, ma bryt prawy sięgający aż do dołu brzegiem przednim, założonym w kontrafałdę 10 c. szeroką (patrz ryc. 41), lewy bryt ścięty skośnie obrąbiony na 28 c. szeroko ułożony jest z przodu w fałdy wachlarzowe; górny brzeg brytów przyszyty szwem odwracanym do stanika. Tylne bryty vêtement podpięte podług r. 44.





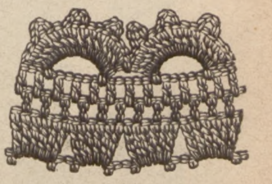
N. 7—8. Sukienka z marynarskim kołnierzem.

N. 42 i 60. Paletocik dla dziecka lat 2—3.

Uszyty z korciku w kratkę białą z niebieską przybrany niebieskim atłasem i stalowemi guziczkami; prawa połowa przodu zachodzi głęboko na lewą i ma z wierzchu naszyte kontrafałdy pod które podsunięte są brzegi atłasowej kamizelki. Kapturek ma ranwersy i środek z atłasu; wykrój szyi wszyty w kołnierzyk stojący. Na szwie pleców z boczkami dane szpiczaste kliny atłasowe; takież przybranie przy kieszonkach i mankietach. Zamiast szarfy gruby sznur niebieski zakończony pomponami.

N. 45 i 62—63. Paletocik krótki wcinany. Patrz ryc. 17 w N-rze 20.

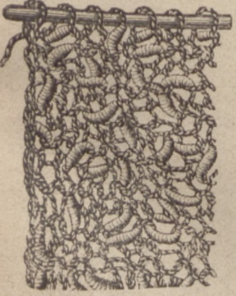
Model był z cienkiego sukna brązowego z kamizelką piaskową i wykładami, mankietami i klapkami z jedwabnego repsu. Krój dopasować można podług formy zwykłego stanika z baskiną; oryginalną nowość stanowi podcięcie u dołu prawej połowy przodu, zachodzącej po za ranwers na lewą, podług ryc. 45. Baskinę u pleców można zakończyć podług ryc. 62—63 lub r. 17 w N-rze 20. Brzegi w około objęte pletnią; kieszonki $9 \frac{1}{2}$ c. szerokie, $4 \frac{1}{2}$ c. długie.



N. 14. Ząbki górne do kołnierza r. 31 w N. 20.

N. 47. Suknia z krótką draperyą z przodu. Patrz r. 8 w N-rze 20.

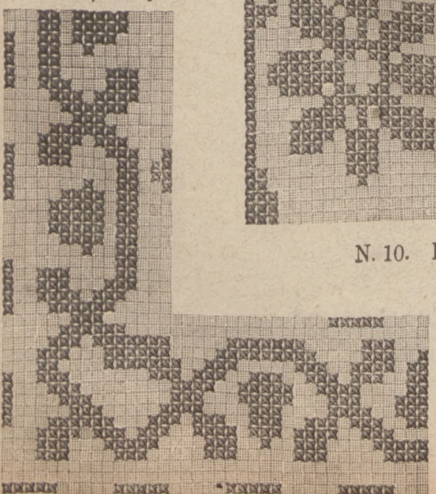
Spódnica podszewkowa pokryta fałdowaniem, ułożonem w kontrafałdy 23 c. szerokie, z przodu i z boków u góry łączone pentelkami ze sznura, zapiętemi na guziki pokryte materyałem. Stanik z baskiną fałdowaną z tyłu ma przody odwinięte w szalowe ranwersy oszyte sznurem, środkiem



N. 12. Robota na drutach z włóczki crêpe de chine, do ryc. 4.



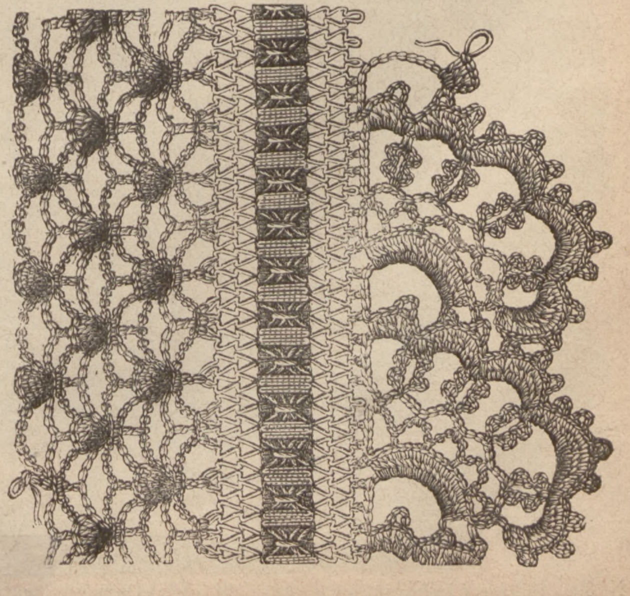
N. 10. Desenik do ryc. 54.



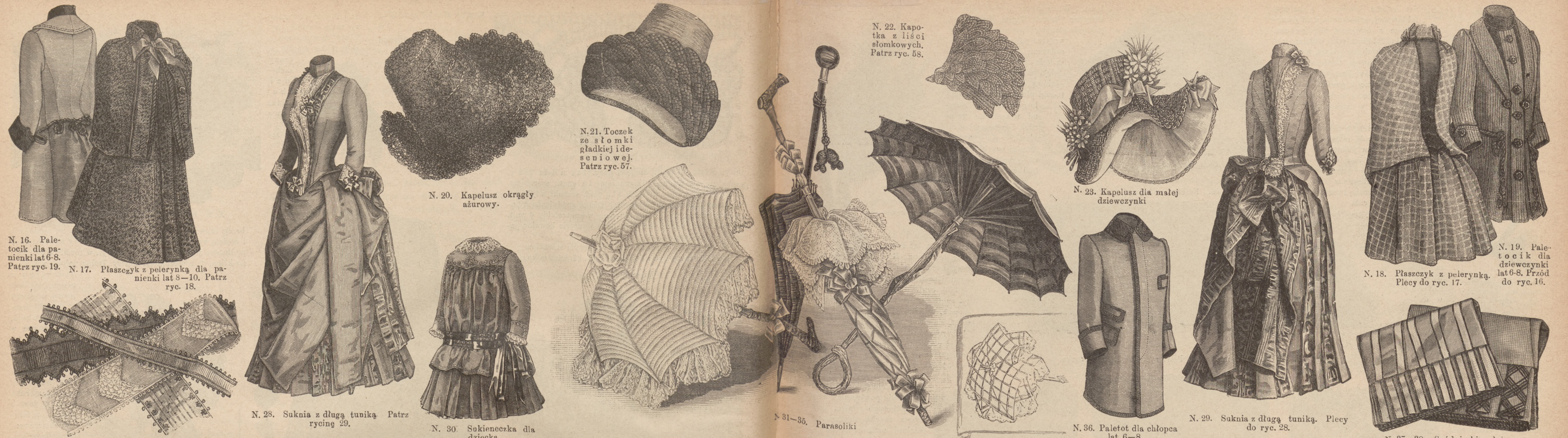
N. 11. Desenik na ścieg krzyżowy.



N. 13. Włóczka crêpe de chine, grubość naturalna.



N. 15. Tło i koronka szydełkowa do ryc. 31 w N-rze 20.



N. 16. Paletocik dla panienki lat 6-8. Patrz ryc. 19.

N. 17. Płaszczyk z pelerynką dla panienki lat 8—10. Patrz ryc. 18.

N. 18. Płaszczyk z pelerynką. Plecy do ryc. 17.

N. 19. Paletocik dla dziewczynki lat 6-8. Przód do ryc. 16.

N. 20. Kapelusz okrągły ażurowy.

N. 21. Toczek ze słomki gładkiej i deseniowej. Patrz ryc. 57.

N. 22. Kapotka z liści słomkowych. Patrz ryc. 58.

N. 23. Kapelusz dla małej dziewczynki.

N. 24—27. Wstążki do sukien, kapeluszy, parasolików i t. p.

N. 28. Suknia z długą tuniką. Patrz rycinę 29.

N. 29. Suknia z długą tuniką. Plecy do ryc. 28.

N. 30. Sukieneczka dla dziecka.

N. 31—35. Parasoliki.

N. 36. Paletot dla chłopca lat 6—8.

N. 37—38. Spódniczki wełniane.



N. 39. Suknia z kaftanikowym stanikiem. Patrz ryc. 50.

N. 40. Okrycie krótkie. Patrz ryc. 46.

N. 41. Suknia z vêtement. Patrz ... 44 i ryc. 5 w N-rze 20.

N. 42. Paletocik dla dziecka lat 2—3. Patrz ryc. 60.

N. 43. Suknia z pokryciem koronkowem. Patrz r. 2 i 6 w N-rze 20.

N. 44. Suknia z vêtement. Plecy do ryciny ...

N. 45. Paletocik krotki wcinany Patrz ryc. 62 i 63 tudzież r. 17 w N-rze 20.

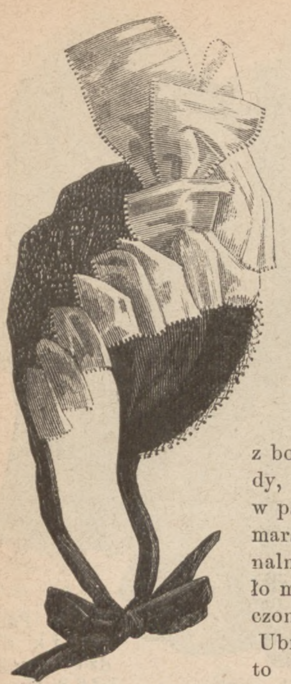
N. 46. Okrycie krótkie. Przód do ryc. 40.

N. 47. Suknia z krótką draperyą z przodu. Patrz ryc. 8 w N. 20.

N. 48. Sukienka z bluzką dla pa-

N. 49. Płaszczyk z pelerynką dla małej dziewczynki. Patrz

N. 50. Suknia z kaftanikowym stanikiem.



N. 51. Kapotka koronkowa. Patrz rycinę 52.

zaś dodana kamizelka z materyi fałdowanej, zakończona u góry karczkiem z naszytem zapięciem. Wzdłuż fałd kamizelki widzimy wyszycie jedwabiem białym, ściegiem cierniowym. Upięcie draperyi z brytów prostych krótko sfałdowanej z przodu, z tyłu zaś spadającej do dołu wskazują ryc. 47 w dzisiejszym i 8 w N-rze 20.

N. 48. Sukienka z bluzką dla panienki lat 8-10.

Spódniczka plisowana przysłonięta jest długą tuniką z brytów prostych z boków wysoko zebraną w fałdy, u góry zmarszczoną i wszytą w pasek. Bluzka cała marszczona ma oryginalny karczek w około marszczony i zakończony u dołu wypustką. Ubranie to odrobione z materyału w dwóch cieniach lub kolorach.

N. 49 i 59. Płaszczyk dla małej dziewczynki. Krój dopasować można podług ryc. 48 w N-rze 15 Tyg. Mód.

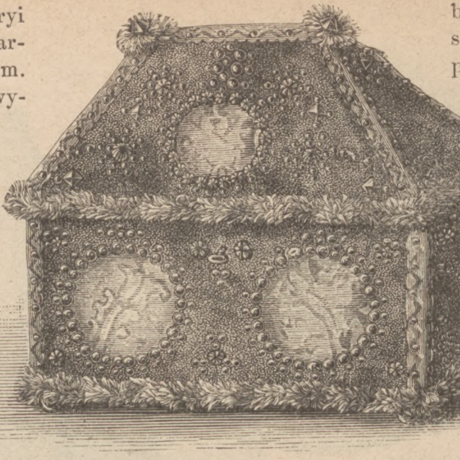
Szerokie obłożenie płaszczyka nie przecinane na rogach, stanowi nietylko przyozdobienie lecz może służyć do rozszerzenia płaszczyka z którego dzieczko wyrosło; obłożenie krajane w jednym ciągu przyszywa się brzegiem od spodu i wywija na wierzch, u dołu płaszczyka i pelerynki liczy 7 cent. szerokości, wzdłuż przodów zwęża się od 10 do 4 cent. a przy pelerynce od 7 do 3 cent. w górze. We wskazanym powyżej kroju zachodzi ta zmiana, że przody 53 cent. długie krają się w jednym ciągu, a plecy 35 cent. długie mają odcinaną baskinę 27 cent. długą, zakończoną obłożeniem i ułożoną w kontrafałdy. Pelerynka 36 cent. długa, kraje się z tyłu w jednym ciągu, bez kontrafałdy; ryc. 59 przedstawia takiż płaszczyk bez peleryny.

N. 51—52. Kapotka tiulowa.

Fasonik petynetowy pokryty jest koronką chantilly, z tyłu u dołu przyciśniętą szpilkami dżetowemi a na wierzchu główki wysokim dżetowym grzebykiem. Wysoka kokarda ułożona z 9 cent. szerokiej wstążki repsowej z pikotami, w dwóch cieniach modnego niebieskawo różowego koloru Hortensya. Rondko objęte aksamitem, z jednego boku pokryte torsadą dżetową, z drugiego puklami z ciemniejszej wstążki. Wiążą kapotkę wązkie aksamitne końce.

N. 53 Kasetka na listy, nabijana gwoździkami.

Wsparta na nóżkach $2^1/_2$ cent. wysokich, liczy 29 cent. wysokości, 30 długości 16 szerokości, a sklejona jest z desek $1^1/_2$ cent. grubych. Wieczko ma kształt dachu ze szczytem 13 cent. długim. Zwierzchnie pokrycie stanowi plusz ciemno zielony, wnętrze pokryte kolorowym safianem; w pluszu wycięte są koła po 7—9 cent. średnicy, podkładane grubą, deseniową materyą jedwabną. Brzegi pluszu przybite w około gwoździkami złotemi w kształcie gwiazdek i srebrnemi okrągłemi. Na kantach kasetki przybita złotemi gwoździkami pletnia w deseń żółty, różowy i zielony; brzegi wieczka i dół kasetki obite frendzelką jedwabną. Nabicie na tle pluszowem wskazuje ryc. 53.

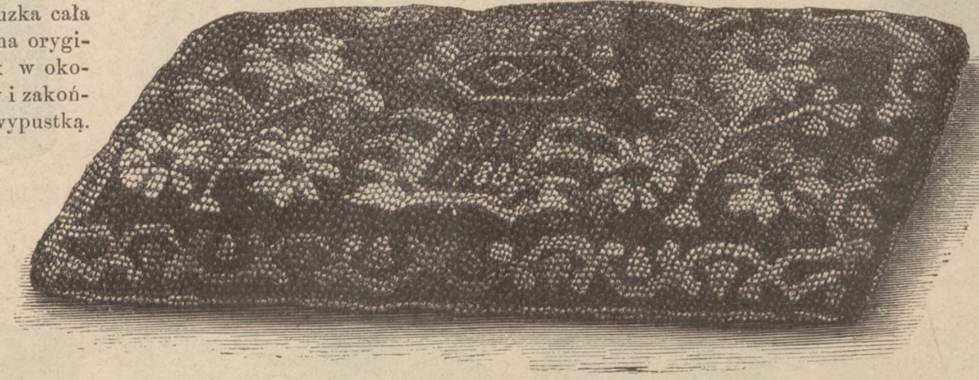


N. 53. Kasetka na listy.



N. 52. Kapotka koronkowa. Patrz ryc. 51.

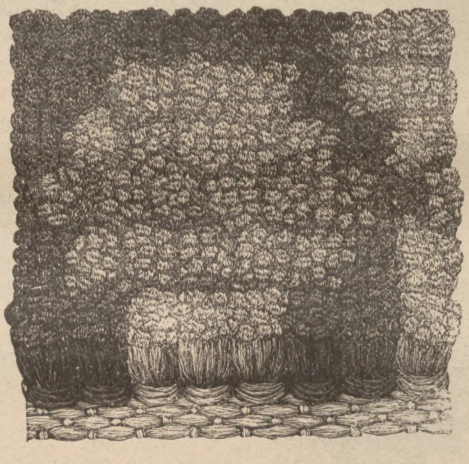
N. 54—55 r. 10-11. Poduszka na ławeczkę drewnianą. Robota tkacka z wiązanemi nitkami włóczki: 106 cent. długa, 64 cent. szeroka poduszka, wysłana włosiem, ma zwierzchnie pokrycie robione na ręcznym warsztaciku, robotą naśladującą gruby plusz, opisywaną przez nas w r. 1885 Rycina 55 daje wzór roboty w naturalnej wielkości; u nas warsztaciki tkackie mało są rozpowszechnione nie powtarzamy więc szczegółowego opisu, gdyż robota tkacka wymaga oddzielnej nauki i wprawy a przybory sprowadzać trzeba z zagranicy.



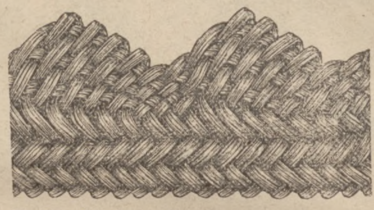
N. 54. Poduszka na ławkę. Patrz ryc. 55. Robota tkacka.



N. 56. Pletnia ze słomki i włosia, na kapelusze.



N. 55. Próbka roboty tkackiej do ryc. 54.



N. 57. Pletnia słomkowa grubo pleciona, do ryc. 21.

N. 61. Poduszka podłużna. Deseń naszyty sznureczkiem i nitkami filozeli, jedwabiu lub włóczki.

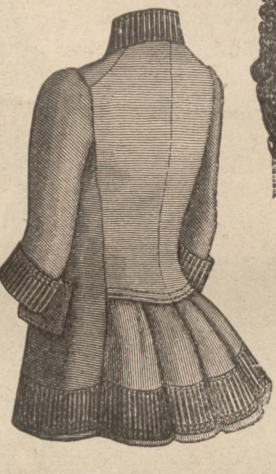
Tło poduszki dane jest w dwóch cieniach, w ten sposób iż jasny środek otacza ciemna prosta rama. Na złączeniu dany szlak wyszyty podług deseniu przez wierzch naszytym sznureczkiem złotym i filozelą kolorową, przytwierdzanemi do tła drobnemi ściegami poprzecznemi.

N. 64. Poduszka do kanapy.

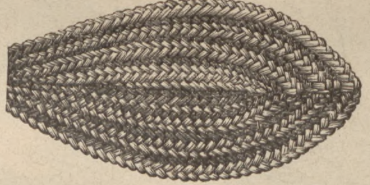
Środkowy kwadrat poduszki ma dwa naroźniki wyszyte na suknie piaskowem, z aplikacyą z brązowego pluszu; pas środkowy skośnie idący jest z atłasu piaskowego z aplikacyą sukienną tegoż koloru; plusz brązowy stanowi ramę brzeżną. Wyszycie na aplikacyi dane szenelą miedzianego koloru, takimż bajorkiem, grubą nitką złotą; kontury otacza sznureczek złoty i kolorowy jedwabny.

N. 65. Serwetka haftowana.

Przeznaczona do mebli ogrodowych odrobiona była na grubem szarem płótnie włóczką hamburgską, z dodaniem filozeli. Kontury deseniu wyszywa się włóczką przytrzymywaną przez wierzch drobnemi ściegami jedwabiem lub bawełną tego samego koloru. Do zapełnienia środków służy ścieg cierniowy, długi luźny, krzyżowany i t. p. Brzegi wydziergane w ząbki.



N. 59. Płaszczyk dla dziewczynki. Patrz ryc. 49.



N. 58. Listek pleciony ze słomki, do ryc. 22.



N. 60. Paletocik dla dziecka. Plecy do ryc. 42.



N. 62. Baskina do paletocika ryc. 45.



N. 61. Poduszka podłużna.



N. 63. Baskina do paletocika ryc. 45.



N. 64. Poduszka do kanapy.



N. 65. Serwetka haftowana.